



Głos w dyskusji o polskiej humanistyce

Humanistyka 2014 – między *dura lex* a *pia desideria*

ALINA NOWICKA-JEŻOWA

Dyskusja nad stanem humanistyki polskiej i stojącymi przed nią zadaniami, zainicjowana przez Prezesa Polskiej Akademii Umiejętności [Andrzeja Białasa](#), rozbudzona przez programowe wypowiedzi [Andrzeja Borowskiego](#) i [Jerzego Bartmińskiego](#), przyniosła już do chwili obecnej inspirujące ustalenia. Przyłączając się do niej, chcę wyrazić przekonanie o ważności zbieżnych z sobą (to należy podkreślić) postulatów, które zostały sformułowane w wypowiedziach dotychczas opublikowanych w „PAUzie Akademickiej”. Dotyczą one spraw fundamentalnych, gwarantujących wiarygodność naukową humanistyki, a zarazem chroniących ją przed degradacją, tak dramatycznie przedstawianą przez profesor [Bogucką](#). Wśród wskazywanych priorytetów najbardziej aktualne to:

- dowartościowanie badań archiwalnych i źródłowych, działań na rzecz niezbędnej cyfryzacji (prof. [Prokop](#)) oraz import nowych książek i periodyków (prof. [Stabryła](#)), a zatem uwzględnienie w polityce naukowej prostego faktu, że zasadniczą przestrzenią pracy humanisty powinna być biblioteka, dostępna także w sieci elektronicznej, nie zaś działania sprawozdawczo-projektujące w zakresach naukowym i dydaktycznym. Stała ich eskalacja jest zjawiskiem negatywnym;
- opieka Państwa nad dziedzictwem kultury, przede wszystkim nad księgozbiórami krajowymi i tymi szczególnie, które znajdują się obecnie poza granicami Polski. Byłaby ona w pełni efektywna w ramach konsekwentnie realizowanego programu narodowego, obejmującego całościowo i systematycznie rejestrację, digitalizację i edycję poloników wedle unormowanych procedur;
- sponsorowanie słowników, bibliografii, indeksów słownictwa pisarzy (*vide* postulaty prof. [Puzyniny](#) i prof. [Małeckiego](#)), serii wydawniczych (o nich ważny głos prof. [Stabryły](#)) oraz przekładów dzieł greckich i łacińskich, nie tylko antycznych (proponuje prof. [Bartol](#) i prof. [Danielewicza](#)), ale też nowożytnych, częściowo tylko znanych uczonym zagranicznym (i wtedy wysoko cenionych, jak traktaty uczonych XV wieku, Modrzewskiego i Goślickiego, twórczość Sarbiewskiego), a niemal nieobecnych w świadomości społeczeństwa polskiego;
- weryfikacja nakładów na przekłady i publikacje w kraju monografii zagranicznych oraz nowych syntez historii kultury polskiej za granicą.

Nie trzeba dowodzić, że dystans, jaki w XIX wieku dzielił filologię polską od europejskiej, wynikał z braku środków umożliwiających opracowanie leksykonów, syntez i edycji, które stworzyły trwałą podstawę rozwoju nauki o literaturze w Niemczech, Francji czy Włoszech. Uczeni polscy tego czasu nie mogli liczyć na order *bene merentium*. Jest również oczywiste, że straty wojenne oraz okres powojenny dystans ten wydłużyły i utrwały. Widomym tego znakiem są informacje dotyczące literatury polskiej w kompendiach europejskich. Znajdujące się tam wzmianki (a często brak ich zupełnie) są ułamkowe i nie odpowiadają współczesnemu stanowi badań.

Ten stan rzeczy ewokuje pytanie o obecność humanistyki polskiej na forum międzynarodowym, stawiane przez profesorów [Bogucką](#) i [Samsonowicza](#). Z pewnością ważne jest otwarcie na aktualnie dyskutowane problemy i metody badań (zwraca na to uwagę prof. [Samsonowicz](#)). Nie bez znaczenia jest jednak również propozycja własna, z jaką podejmujemy współpracę. Przegląd bieżących publikacji upewnia, że kategoria kultury polskiej (resp. francuskiej, włoskiej, niemieckiej), uznawana w niektórych kręgach za nacjonalistyczny przeżytek, nie traci aktualności, ma bowiem na swoją obronę argument konkretnych dzieł historyczno-kulturowych, tak elementarnych, jak język dzieł, zawierający swoisty obraz świata, a także temat związany z doświadczeniem zbiorowym i charakterystyczne wybory aksjologiczne. Oczywiście kategoria kultury polskiej nie może być utożsamiana z mitami dziewiętnastowiecznymi ani też z ideologią „swojskości”. Przed trybunałem Czasu bronią się wolne od niej rozprawy, które wpisują dzieła naszych autorów w kulturę europejską, jak również światową, i ukazują ich oryginalność. Mając to na uwadze, chcę podkreślić potrzebę refleksji metodologicznej nad badaniami porównawczymi, która powinna uwzględniać kryterium owocności metody, nie zaś jej związek z modą intelektualną, nieraz zresztą przebrzmiałą w środowiskach zagranicznych, które ją wykreowały, a u nas nadal kulturowaną.

Na koniec tej – z konieczności skrótowej – wypowiedzi, chcę nawiązać do rozważań profesorów [Puzyniny](#), [Bartmińskiego](#), [Borowskiego](#) i [Prokopa](#) o zadaniach „wewnętrznych” humanistyki, które dotyczą „potrzeb poznawczych, formacyjnych, edukacyjnych i kulturowych”, ►

► a wynikają stąd, że dyskurs humanistyczny ma z natury swojej wymiar retoryczny, a zatem perswazyjny. Historia zamknęła rozdziały doktrynalnego scjentyzmu, a potem formalizmu – doktryn eliminujących z refleksji humanistycznej element dialogu (w sensie platońskim) badacza z uobecniającym się w dziele człowiekiem-autorem oraz dialogu badacza z odbiorcami jego rozpraw. Niezamknięty pozostaje rozdział koncepcji, które izolują wypowiedź humanisty od serwitutów społecznych: ideowych i etycznych. Wydaje się, że te właśnie tendencje spowodowały osłabienie (by nie rzec: zanik) autorytetu humanistyki i upowszechniające się poczucie jej bezużyteczności we współczesnym świecie. Profesorowie Puzyńska i Prokop zwracają tu słusznie uwagę na doniosłość przekazu aksjologicznego. Pozwolę sobie dodać, że zagadnieniem otwartym pozostaje strategia retoryczna, która mogłaby – tu i teraz – zapewnić nośność komunikacyjną przesłania dotyczącego wartości duchowych jako elementu dziedzictwa kulturowego.

Co się zaś tyczy przyszłości humanistyki polskiej, to jest ona programowana przez obecną politykę naukową, która – jak świadczą wypowiedzi publikowane na łamach „PAUzy” – wzbudza silne kontrowersje. Wizja uniwersytetu jako szkoły nauk „stosowanych” ma swoje racje pragmatyczne, oddala jednak humanistykę od strefy naukowej, skazuje aktywność akademicką na żywot usługowy wobec stereotypowo i praktycystycznie postrzeganych kompetencji zawodowych studenta, osłabia elity, które przez stulecia budowały kulturę. System oceny, oparty wyłącznie na wskaźnikach ilościowych, promuje (na co wielokrotnie zwracano uwagę) działania koniunkturalne i niedojrzałe. Zapewne nie zostanie zaniechany; oby był doskonałony z uwzględnieniem tego, co jest owo-

cem postulowanej oficjalnie współpracy zespołów badawczych, to jest zbiorowych tomów monograficznych i syntetyzujących (rzecz jasna, poddanych weryfikacji recenzyjnej), a także – przede wszystkim – tego, co w humanistyce jest wartością swoistą, choć niewymierną liczbowo, to jest *humanitas* badaczy, z reguły przejawiającej się odmiennie niż zręczność w zyskiwaniu awansu.

Starożytni kodyfikatorzy projektu antropologicznego *humanitas-paidei* łączyli ją z *filantropią*. Również na drodze, jaką przemierzyła nasza humanistyka, wykrystalizował się imperatyw wierności nauce, pojętej jako szukanie prawdy ponad koniunkturami, a zarazem służby kulturze narodowej i społeczeństwu. W tej perspektywie, i w kontekście masowości kształcenia, zyskują aktualność działania promujące najbardziej twórczych i zdeterminowanych do pracy naukowej młodych badaczy, „aby stali się jeszcze lepsi”, jak głosi dewiza Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Idzie o trwałą wartość naukową odkrycia, ale też o przydatność prac w upowszechnianiu wiedzy o tradycji kulturowej oraz w kształtowaniu postaw społecznych – twórczych i owocnych, bo świadomych celu aktywności indywidualnej i zbiorowej.

W wypowiedziach najbardziej autorytatywnych Uczonych zaznacza się zdecydowana krytyka *status quo*. Diagnoza zjawisk kryzysowych – z pewnością niebezczesadna – powinna jednak zostać zrównoważona rozpoznaniem tego, co w obecnej, nieprzyjaznej humaniorom dobie globalizacji i standaryzacji, niesie z sobą potencjał pozytywny, a zatem zasługuje na nazwanie, podtrzymywanie i rozwinięcie. Trzeba więc życzyć gremiom i osobom decydującym o przyszłości pełnego przejrzania tożsamości humanistyki polskiej, Salomonowej mądrości rozstrzygnięć i stowarzyszonej z realizmem wyobraźni.

ALINA NOWICKA-JEŻOWA

Uniwersytet Warszawski

Podejrzanе słowo postęp – czyli pochwała umiaru

JACEK KUBIAK

Postęp naukowy i technologiczny ma dziś tyluż entuzjastów, ilu wrogów. Pierwsi oczekują po nim poprawy losu ludzkości, zwycięstwa człowieka nad śmiercią i naturą. Drudzy widzą wyłącznie przyspieszenie zagłady gatunku homo sapiens i całej planety. Tak diametralnie różne opinie sugerują, iż żadna z nich nie jest prawdziwa. A przecież nauka i uczeni mają służyć w pierwszym rzędzie właśnie postępowi. Służymy więc dobrej, czy złej sprawie?

Spory entuzjastów i wrogów tego pojęcia trwają od niepamiętnych czasów. Krytycy zwykle żądają zakazania pewnych badań naukowych, gdy tylko pojawia się związane z nimi zagrożenie. Dziś takimi gorącymi tematami są: klonowanie człowieka, zastosowania genetyki molekularnej, trwałe modyfikowanie genomów ludzi, zwierząt i roślin, wszelkie badania militarne zwiększające „wydajność” zabijania. Z reguły zabiegi krytyków nie są jednak w stanie powstrzymać biegu wydarzeń. Przekonałiśmy się po wielekroć, że to, co jest wykonalne, wcześniej czy póź-

niej zostanie wykonane. Raz na wielką skalę, innym razem zaś na mniejszą. Przewrotna natura ludzka każe nam wypróbować każdą naukową nowinkę i sprawdzić na własnej skórze każdy pomysł. Jeśli chcemy więc postępu nauki, za czym idzie modernizacja naszego życia i szybki rozwój ekonomiczny, to powinniśmy najpierw oszacować cenę tego pomysłu i wiedzieć, czego się po nim spodziewać.

Ale czy my właściwie wiemy, czym jest postęp? Czy jest on zjawiskiem liniowym, ciągłym? Jakie jest jego tempo? Czy postęp przyspiesza, czy zwalnia? Odpowiedzi na te pytania filozofowie – poczynając od Michela de Montaigne’a, Francisca Bacona i René Descartes’a – szukają od dzisiaj.

Problem pojawia się już przy samej definicji postępu. Każdy filozof formułuje bowiem własną. Dla uproszczenia uznajmy więc, że chodzi o nowoczesną formę marzenia o osiągnięciu przez człowieka rajy na Ziemi, co miałyby spełnić się za sprawą rozwoju nauki i techniki. ►

► Postęp zawdzięczamy umiejętności porozumiewania się za pomocą znaków graficznych. Pismo umożliwiło bowiem przekazywanie i gromadzenie informacji. I to nie tylko w najbliższym kręgu – to zapewnia już sama mowa. Umiejętności mówienia, pisania i czytania różnią nas w zasadniczy sposób od zwierząt. W całym świecieżywionym tylko człowiek zdobył bowiem możliwości przekazywania własnych doświadczeń z pokolenia na pokolenie. Zdolności te są podstawowymi atrybutami człowieczeństwa i to one skazują nas na postęp.

W krajach postkomunistycznych słowo „postęp” kojarzy się nie najlepiej: z pseudonaukowym łysenkizmem Trofima Łysenki i Olgi Lepieszyńskiej, który zdeformował prace Miczurina i miał zaprzeczyć „burżuazyjnym” prawom genetyki Mendla i Morgana, z odwracaniem biegu syberyjskich rzek, konstruowaniem nowego człowieka i budowaniem świetlanej przyszłości narodów. Zarówno Trocki jak i Lenin, a później Stalin i Breżniew, a w Polsce – Gomułka i Jaruzelski, nie byli w stanie przyzwoicie wykarmić i odziać ludzi, którymi władali, co nie przeszkadzało im plasować się po stronie zakłamanego postępu. Dlatego takie wizje nie są u nas w cenie i nikt przy zdrowych zmysłach swych obietnic postępowaniem nazwać się nie ośmieli. Przekonał się o tym Lech Wałęsa, obiecując niegdyś drugą Japonię. Z tych samych powodów konserwatyści boją się słowa postęp jak diabeł święconej wody.

Postęp nie ma jednak wyłącznie politycznie przekłamanego znaczenia. Pierwszą zwartą teorię postępu opracował markiz Nicolas de Condorcet w dziele pt. *Szkic obrazu historycznego postępu ducha ludzkiego*. Największą jego zasługą było zerwanie z tradycyjną wizją, że starożytność była okresem niedoścignionego rozwoju myśli ludzkiej, czyli szczytem postępu. To on uświadomił ludzkości, że postęp jest przed nią, a nie za nią. On też jako pierwszy uznał religię za główną siłę hamującą postęp.

Doświadczenia totalitaryzmów XX wieku osłabiły pozycję progresistów. Ale już Georges Bernanos stwierdził w roku 1953, że „pesymizm i optymizm mają wspólny mianownik – nie widzą rzeczy obiektywnie. Optymista to szczęśliwy imbecyl, pesymista zaś to też imbecyl, tyle że nieszczęśliwy. Obaj są jak Flip i Flap”.

Uogólnienie Bernanosa odnosi się i do współczesnych – oczekujących od postępu bądź cudów, bądź zagłady. Tak właśnie wyraża się dziś często nasz stosunek do osiągnięć biologii molekularnej i wszelkich zabiegów biotechnologicznych. Przeciwnicy – jak za czasów ruchu niszczycieli maszyn w XIX wieku – wycinają doświadczalne pola ze zmodyfikowaną genetycznie kukurydzą i szczycą się, że ratują nas przed rzekomą katastrofą ekologiczną. Podwyższona temperatura umysłów (i czynów) w tej dziedzinie panuje w Europie, lecz promieniuje na cały świat. Bierze się ona z ignorancji, która od zawsze szła w parze ze strachem. Człowiek pierwotny, nie rozumiejąc skąd biorą się pioruny, bał się panicznie burzy i uznawał ją za objaw gniewu bogów. Dziś ten sam mechanizm tyczy GMO, a strach podsycany jest przez politykierską propagandę.

Nie lepiej jest jednak i u piewców zalet postępu. Ileż mieliśmy obietnic, że nowe metody leczenia zapewnią nam szczęście wieczne, albo że GMO pozwolą

wykarmić zagrożoną głodem ludzkość? Mantra, że przełom jest tuż tuż, zniechęca zblazowaną publiczność i zacierza rzeczywiste kształty postępu. A przecież mamy cudo przełomu XX i XXI wieku – Internet, uporaliśmy się z wieloma plagami od tysiącleci nękającymi ludzkość, wysłaliśmy sondy badawcze na odległe planety Układu Słonecznego, potrafimy szybko reagować na pojawianie się nowych chorób, produkując testy, szczepionki i nowe lekarstwa (nawet na raka czy AIDS – choć ciągle nie ma antidotum na wirusa HIV, to istnieją terapie przedłużające życie zakażonym). Nazbyt często zapominamy, że rak to nie jedna choroba, ale wiele różnych chorób. Na niektóre formy raka mamy od niedawna świetne medykamenty: Glivec na pewne białaczki, Herceptynę na raka piersi, Paclitaxel i Taxoter też m.in. na raka piersi. Uzyskaliśmy je dzięki możliwościom, jakie dają genetyka i biologia molekularna. Społeczna świadomość niezwykle szybkiego postępu w tej dziedzinie ginie jednak w potoku nowych obietnic, bo przecież nie ustajemy w poszukiwaniu nowych środków. Bywamy jak dzieci, które – obsypywane prezentami – nie potrafią cieszyć się z nowego podarku.

Brak umiaru w ocenie postępu wydaje się pochodną jego szalonego tempa właśnie. To ono bowiem kreuje potrzebę generowania kolejnych nowości. Tak było od zawsze, tyle że do niedawna mieliśmy czas na przetrwanie tego, co zdobyliśmy. Dziś, gdy niemal wszystko staje się osiągalne, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – a raczej komputerowej myszki – pryska czar nowości. Postęp zabija sam siebie, osiągając przerażające dla wielu tempo. Stąd metafora Williama Pfaffa o jego końcu, a za nim o końcu nauki (John Horgan) i samego człowieka (Francis Fukuyama).

Dziś informacje rozchodzą się z prędkością światła. Dzięki temu odnosimy wrażenie uczestniczenia w procesie światowego postępu. Kogo ganić za to, że codziennie obiecuje się nam nowości i roztacza świetlane perspektywy? Naukowców? Dziennikarzy? To przecież ich obowiązek. Problem w tym, że informacje bywają albo zbyt dosadne, albo źle rozumiane przez głodnych sensacji widzów, słuchaczy i czytelników.

Nauka obiecuje postęp, ale nie jest w stanie przewidzieć jego tempa. Jak jednak przekonywać decydentów i społeczeństwa łączące na badania naukowe bez podania choćby hipotetycznej daty uzyskania wyników? Naukowcy robią więc często po prostu zakład, a brane jest to bądź za oszustwo, bądź za przejaw pychy. Przypomnijmy tu Auguste'a Comte'a: „postęp nie odbywa się po linii prostej, on kluczy, porusza się zygzakiem”. Nazbyt często o tym zapominamy.

Do umiaru w percepcji postępu nawołuje francuski filozof, socjolog i politolog Pierre-André Taguieff. Tak „religię”, jak i „nihilizm” postępu proponuje zastąpić chłodnym racjonalnym myśleniem. Wbrew pozorom Taguieff wybrał drogę najtrudniejszą, gdyż wezwanie do umiaru nie porwie mas. Jednak to właśnie umiar – dziś towar jakże deficytowy – jest nam na początku szalonego XXI wieku potrzebny bardziej, niż zdajemy sobie z tego na co dzień sprawę. To w nim właśnie należy upatrywać ratunku przed końcem postępu, nauki i nas samych.

JACEK KUBIAK

* Autor jest absolwentem Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego, dr hab. (*franc. directeur de recherche*; co jest odpowiednikiem profesury). Od 25 lat mieszka we Francji. Pracuje w CNRS – w Institut de Génétique et Développement de Rennes i w Dept. Biologie et Génétique du Développement, Faculté de Médecine, Université Rennes. Pracuje nad mechanizmami molekularnymi podziałów komórkowych i rozwoju zarodkowego.

Spacer losowy a odkrycie Banacha przez Steinhausa

Śledząc interesującą dyskusję na łamach „PAUzy Akademickiej”, warto zauważyć, że Stefan Banach zapewne siadywał na wielu ławkach w Krakowie. Na dowód, zachowana urocza fotografia, która jest dziełem pierwszego odkrywcy talentu młodego Stefana – francuskiego fotografa J. Miena.



Kilkuletni Stefan Banach na krakowskich Plantach

Fotografia J. Miena [1]

Prof. Krzysztof Fiałkowski w polemice *Którędy chodził Nikodym?* [2] zgłosił zastrzeżenia, potwierdzone analizą empiryczną, do tezy przedstawionej w artykule [3] Danuty i Krzysztofa Ciesielskich pt. *Ławka Banacha na Plantach*. Artykuł ten wskazuje możliwą lokalizację ławki, na której w ów letni wieczór 1916 roku siedzieli Banach i Nikodym podczas rozmowy, do której dołączył się Steinhaus. W niniejszym tekście podzielałam wątpliwości prof. Fiałkowskiego odnośnie do lokalizacji zaproponowanej przez pp. Ciesielskich. Mam też zastrzeżenia do tekstu umieszczonego na ławkowej tablicy [3], bo nie oddaje on wspianej anegdoty historycznej.

Nieoczekiwane spotkanie na Plantach, o którym toczy się dyskusja w „PAUzie”, miało ogromny wpływ na rozwój matematyki XX wieku, a dokładniej na powstanie analizy funkcjonalnej. Hugo Steinhaus do końca swoich dni powtarzał, że za **swoje największe odkrycie naukowe, uważa... Stefana Banacha**. Rola Steinhausa w odkrywaniu talentu matematycznego Banacha była niebagatelna [4].

Proponuję do poszukiwania lokalizacji tej ławki spróbować zastosować sprawdzoną w fizyce statystycznej metodę *continuous time random walk* (CTRW) – czyli metodę spaceru losowego z czasem ciągłym, pochodzącą od Montrolla i Weissa (1965).

Spacerującym był Steinhaus. Rozpoczął swoją losową wędrówkę, jak wiemy z jego wspomnień [5], od pensjonatu przy ul. Karmelickiej 9. Dotarł do Plant i z prawdopodobieństwem $\frac{1}{2}$ rozpoczął ów historyczny spacer wzdłuż Plant w prawo, lub z prawdopodobieństwem $\frac{1}{2}$ w lewo. Przedstawiona w [2] empiryczna analiza możliwości realizacji drogi pokonywanej przez Ottona Nikodyma między jego domem mieszczącym się przy ul. Kochanowskiego a Plantami [m.in. ulicami Michałowskiego – Dolnych Młynów – Krupniczą (– Loretańską – Kapucyńską) – Planty albo Michałowskiego – Karmelicką – Planty] sugeruje, że Steinhaus skrzył na Plantach w prawo i wskazane w [2] lokalizacje są zdecydowanie bardziej prawdopodobne niż ta wybrana w [3]. Tu należy dodać, że nie możemy też wykluczyć zdarzenia, że Steinhaus skrzył w lewo, i do spotkania mogło dojść w okolicach siedziby PAU, a nie UJ. Tak czy inaczej z metody CTRW wynika, że ławka powinna być zlokalizowana w znacznie atrakcyjniejszej części Plant, niż to ma miejsce obecnie [3].

ALEKSANDER WERON

Centrum Steinhausa
Politechnika Wroclawska

¹ http://kielich.amu.edu.pl/Stefan_Banach/index.html

² Krzysztof Fiałkowski, *Którędy chodził Nikodym?*, „PAUza Akademicka” 241.

³ Danuta Ciesielska i Krzysztof Ciesielski, *Ławka Banacha na Plantach*, „PAUza Akademicka” 239.

⁴ Aleksander Weron, *Ławka Banacha – Help needed*, „PAUza Akademicka” 225.

⁵ Hugo Steinhaus, *Wspomnienia i zapiski*, wyd. 3, Wydawnictwo Atut, Wrocław 2010.

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.



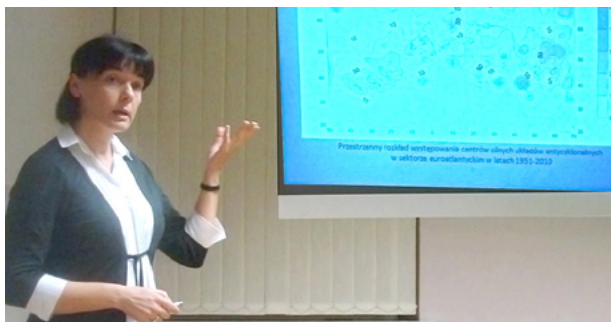
Kraków – warto wiedzieć

Silne wyże nad Europą

Tematem kolejnego posiedzenia Komisji Geograficznej PAU były **Silne wyże nad Europą**. Autorką wykładu była **dr ZUZANNA BIELEC-BAKOWSKA**.

– Dlaczego ten temat jest ważny – skoro Pani go podjęła?

– Pojęcie układu wysokiego ciśnienia jako układu barycznego po raz pierwszy pojawiło się w drugiej połowie XIX wieku. Jednak przez następne sto lat to niżej poświęcona była zdecydowana większość badań dotyczących układów ciśnienia. Tak duże zainteresowanie niżami wynikało z dynamiki przemieszczania się tych układów (to przede wszystkim z nimi wiązano ruch powietrza) oraz z dużej zmienności pogody, jaka jest charakterystyczna dla tych układów barycznych. Ponadto, najbardziej gwałtowne zjawiska meteorologiczne najczęściej związane są właśnie z układami niskiego ciśnienia (np. cyklony tropikalne, porywiste wiatry, burze, silne opady atmosferyczne itp.). Dopiero w połowie XX wieku, wraz z rozwojem lotnictwa, odkryciem prądów strumieniowych oraz dużym postępem w badaniach atmosfery, wzrosło zainteresowanie powstawaniem i występowaniem układów wysokiego ciśnienia.



Dr Zuzanna Bielec-Bąkowska w czasie wykładu

Fot. Marian Nowy

– A teraz?

– Obecnie badania poświęcone są bardzo wielu aspektom występowania wyżów, jednak najczęściej dominuje ujęcie regionalne lub synoptyczne. Brakuje natomiast klimatologicznego spojrzenia na występowanie tego rodzaju układów w większej skali przestrzennej i czasowej.

– Jaki ma to związek z pogodą, która nas wszystkich interesuje?

– Ważnym zagadnieniem, związanym z występowaniem wyżów, jest typ pogody, jaki im towarzyszy. Przeważa oczywiście pogoda słoneczna, bezwietrzna i bez opadów, a temperatura powietrza zależy od pory roku. W sezonie ciepłym z wyżami związany jest wzrost temperatury, a w lecie także fale upałów (z temperaturą często przekraczającą 30°C czy nawet 40°C). W chłodnej połowie roku temperatury są z reguły dużo niższe niż w dniach z układami niskiego ciśnienia, a zimą możemy spodziewać się bardzo silnych mrozów. I to właśnie występowanie fal mrozów i upałów może wywołać skutki równie dotkliwe, jak przechodzenie bardzo głębokich niżów. Do najważniejszych należy zaliczyć spadki temperatury poniżej –20 czy –30°C, długotrwałe mrozy, towarzyszące im przemarzanie roślin, długie utrzymywanie się pokrywy śnieżnej lub lodowej,

uszkodzenia linii energetycznych, problemy z komunikacją czy ogrzewaniem. Latem natomiast występowanie upałów oraz związanych z nimi susz czy pożarów lasów. Dodatkowo silny stres dla organizmu, który wywołuje występowanie tak skrajnych warunków pogodowych, powoduje pogorszenie się naszego samopoczucia, a nawet śmierć, zwłaszcza w grupie osób starszych, chorych lub wśród małych dzieci (przykładem mogą być upalne lata 2003 i 2006 roku).

Wszystkie wspomniane fakty udowadniają, że występowanie układów wysokiego ciśnienia (szczególnie tych najsilniejszych i długotrwałych) jest równie interesujące, jak niżów. Jeżeli dodamy do tego opisywane zmiany klimatu oraz hipotezy o ich wpływie na wzrost częstości występowania ekstremalnych zdarzeń klimatycznych (w tym przypadku fal mrozów i upałów), to badania poświęcone układom wysokiego ciśnienia stają się zarówno bardzo intrygującym, jak i ważnym zagadnieniem.

– Naukowcy klimatolodzy mówią o trudności, czasem wręcz o niemożliwości odpowiedzialnego podawania prognoz długoterminowych. Dlaczego tak trudno przygotować dobrą prognozę pogody?

– Ponieważ system klimatyczny jest bardzo skomplikowany, a na pogodę w danym miejscu wpływa wiele czynników. Z tego powodu, aby prognozować przyszłe zmiany w atmosferze, potrzebujemy bardzo wielu informacji o jej stanie w „chwili obecnej” (a często i minionej) oraz wiedzy o procesach, które sterują zjawiskami pogodowymi.

Kiedyś źródłem wiedzy o pogodzie była codzienna obserwacja otaczającej nas przyrody. Wtedy też potrafiliśmy, z pewnym prawdopodobieństwem, przewidzieć, co będzie dnia następnego, a w wyjątkowych przypadkach (np. występowania silnych układów wyżowych) nawet za kilka dni. Obecnie niewiele osób spogląda w niebo, a obserwacje przyrody zastąpiło śledzenie prognoz na ekranach telefonów czy komputerów. Dlatego obserwowaniem za nas zmian w pogodzie zajmują się synoptycy. Oni to, korzystając z wielu informacji (pochodzących z naziemnych pomiarów i obserwacji, ze zdjęć satelitarnych i radarowych, z pionowego sondowania atmosfery, systemów detekcji wyładowań i modeli meteorologicznych), potrafią określić przyszłe zmiany pogody. Jednak bez modeli meteorologicznych prognozy te byłyby mniej dokładne i obejmowałyby tylko krótki okres. A modele te potrzebują bardzo wielu danych, opisujących stan atmosfery na znacznym obszarze, i analizują wiele możliwych scenariuszy przyszłych zmian. Do tego celu służą jedne z największych na świecie komputerów.

W przypadku prognoz długoterminowych, ogrom danych wejściowych jest jeszcze większy. Ponadto należy uwzględnić również informacje o stanie wód oceanów, i to nie tylko obecnym, ale i z minionych miesięcy czy sezonów. Z tego powodu wyniki przeprowadzonych na tej podstawie obliczeń odznaczają się małym stopniem szczególności i niewielką sprawdzalnością. A przecież pod prognozami podpisuje się synoptyk własnym nazwiskiem i bierze za nie pełną odpowiedzialność.

Rozmawiał MARIAN NOWY